

Curtis L. Hancock

Amerykańskie społeczeństwo demokratyczne w ocenie Amerykanina

Człowiek w Kulturze 20, 113-130

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Curtis L. Hancock

Rockhurst Jesuit University, Kansas City, Missouri, USA

Amerykańskie społeczeństwo demokratyczne w ocenie Amerykanina*

W języku angielskim istnieje wyrażenie mówiące, że kocha się drugiego człowieka pomimo jego niedoskonałości. Mówi się wówczas: „Kocham tego a tego oraz wszystkie jego ciemne strony i wady” (ang. *I love so-and-so, warts and all*), również defekty w jego wyglądzie. Uczciwa ocena amerykańskiej demokracji musi oczywiście wziąć pod uwagę zarówno jej wady, jak i zalety. Podejmuję się próby takiej właśnie oceny jako Amerykanin, który – tak się składa – kocha swój kraj (jest to okoliczność często dzisiaj pomijana w ocenie Ameryki, nawet przez Amerykanów). Każda próba zrozumienia społeczeństwa wymaga wnikliwej penetracji trzech jego wymiarów: kultury, gospodarki i polityki. Niniejsza triada będzie dla mnie punktem odniesienia podczas omawiania istotnych cech amerykańskiego społeczeństwa demokratycznego, które stanowią o jego sile lub słabości.

Kultura

Studium historii prowadzi do wniosku, że o żywotności danego społeczeństwa decydują jego przekonania religijne. Przekonania te ujawniają się najwyraźniej u samych początków życia społecznego. W przypadku amerykańskiego społeczeństwa demokratycznego pierwotne jego inspiracje i siły witalne mają swoje źródło w protes-

* Tytuł oryginału: „*Warts and All: An Insider's Appraisal of American Democratic Society*” („Oraz wszystkie jego ciemne strony i wady”, czyli amerykańskie społeczeństwo demokratyczne w ocenie Amerykanina).

tantyzmie. Dlatego też stopniowa erozja protestanckich fundamentów jest jednym z powodów, dla których współczesna Ameryka przeżywa swego rodzaju kryzys tożsamości, warunkujący jej moralne i kulturowe osłabienie. Jak na ironię, do pogłębiania tej zapaści kulturowej wydatnie przyczynia się sam protestantyzm, ilekroć ulega szkodliwym tendencjom. W każdy razie nie sposób mówić o dziedzictwie Ameryki bez oddania należnego uszanowania jej protestanckim założycielom.

Protestantyzm został przywieziony do Ameryki przez angielskich purytanów. Cechy purytanizmu są nieustannie obecne w amerykańskim społeczeństwie. Francuski arystokrata Alexis de Tocqueville, który amerykańską *psyche* rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny, stwierdził, że „natura całej Ameryki jest ucieleśniona w osobie pierwszego purytanina, który wylądował na jej brzegu tak, jak cała ludzkość jest przedstawiona w osobie pierwszego człowieka”. Trudno jest przesadzić, mówiąc o wpływie wiary protestanckiej na życie Ameryki.

Purytanie ożywiali amerykańską społeczność duchem chrześcijańskiej religii, retoryki i sumienia. Z entuzjazmem przyjęli oni luteranскую ideę *sola scriptura*, mówiącą, że chrześcijaństwo ni mniej, ni więcej jest Biblią. Życie chrześcijanina polega więc na odczytywaniu słów Pisma oczyma wiary i dostosowywaniu swojej duszy do ich treści. Ponadto, purytanie uznali – za Marcinem Lutrem – że kościół jest czymś niekoniecznym, z wyjątkiem braterskiej pomocy i kaznodziejskiej zachęty. „Depozyt wiary” (ang. *deposit of faith*) obejmował wyłącznie Pismo Święte. Istniało jedynie „kapłaństwo wszystkich wiernych” (ang. *priesthood of all believers*). Faktem jest, że jednym z podstawowych motywów, dla którego purytanie opuścili Anglię, była niechęć wobec idei ustanowienia religii państwowej, forsowanej przez Jakuba I, króla brytyjskiego.

Rzecz ciekawa, że późniejsze pokolenia kolonialistów z Anglii miały jednak coś z religii króla. Podobnie bowiem jak ich poprzednicy, oni również odrzucali królewską „religię państwową” (ang. *establishment religion*) i przyjmowali Biblię, lecz czynili to w sposób dosłowny, zabierając ze sobą jej tłumaczenie dokonane za czasów króla Jakuba. Wydanie Biblii z 1715 r. jest uznanym arcydziełem językowym w całej literaturze angielskiej. A skoro było ono podsta-

wową lekturą domowej i szkolnej edukacji przez pokolenia, wprowadziło więc do kultury amerykańskiej pewną elegancję języka i retoryki. Innymi słowy, obcowanie z Biblią oswajało z „językiem króla” (ang. *the King's English*), który bezwiednie stawał się cechą wyróżniającą każdej wykształconej osoby. Tym samym Pismo Święte urosło do rangi konstytutywnego czynnika zarówno amerykańskiej religijności, jak i języka.

Biblia była również szkołą sumienia. Purytanie bowiem, odrzucając (zgodnie z protestancką tradycją) autorytet i tradycję Kościoła katolickiego, zaprzeczyli jednocześnie wiarygodności ludzkiego rozumu i klasycznej nauce o cnocie i prawie naturalnym. Stąd też z przekonaniem, że wiara dotyczy jedynie Biblii, purytanie łączyli wniosek, że do samej tylko Biblii sprowadza się także ludzka moralność.

Mimo to ludzka natura – o czym Polacy wiedzą aż nadto dobrze – jest nieposkromiona. Naturalne potrzeby ludzkiego życia nie pozwalają do końca nad sobą zapanować. Purytański fideizm Amerykanów (pogląd, że biblijna wiara, a nie rozum, jest jedynym przewodnikiem człowieka) został ostatecznie złagodzony przez kolejną falę imigrantów z Europy pod koniec XVII w. Przywieźli oni ze sobą biblioteki, dzięki którym mogli kształcić swoje dzieci nie tylko w zakresie wiadomości biblijnych, lecz również w całym zachodnim kanonie. Młode pokolenie zaczęło poznawać naukę starożytnych Greków i Rzymian na temat roli ludzkiego rozumu i prawa naturalnego. Kraj, z kolei, zebrał z tego nauczania wielkie żniwo w postaci wielkich osobowości, które swoje wykształcenie odebrały w rodzinnych domach, a do których można zaliczyć chociażby Jeffersona, Franklina, Madisona i Hamiltona – Ojców Założycieli, którzy położyli podwaliny pod nową formułę umowy społecznej. Nowa umowa przywróciła do życia naturalne prawa człowieka, tworząc – mówiąc językiem Ojców Założycieli – *novus ordo seclorum*, społeczność, która przywraca miejsce rozumowi i prawu naturalnemu w moralnym i politycznym doświadczeniu.

Czymże jest jednak umowa bez opatrzonego podpisem dokumentu? Takich dokumentów ojcowie założyciele napisali kilka. Ich podpisy widnieją pod Deklaracją Niepodległości i Konstytucją.

W Deklaracji znalazł się argument z prawa naturalnego, gwarantujący ochronę życia, wolności i szczęścia. Konstytucja – zainspirowana myślą Johna Locke’a – z prawa do życia, wolności i szczęścia wyprowadzała prawo do prywatnej własności, która, z kolei, wymaga ochrony przed interwencjonizmem państwa. Akt Praw Obywatelskich (ang. *Bill of Rights*), czyli zbiór pierwszych dziesięciu poprawek do Konstytucji, wyraźnie określa zakres kompetencji rządu, przyznając obywatelom najszersze z możliwych swobody do życia w wolności od ingerencji państwa. Akt Praw gwarantuje wolności, które charakteryzują amerykański styl życia: zakaz wszelkiej religii państwowej, wolność słowa, wolność prasy, wolność zebrań, prawo do noszenia broni, wolność od bezzasadnych rewizji i zatrzymań, prawo do własności, prawo do procesu sądowego itd.

Powyższe dokumenty założycielskie skodyfikowały przymierze wiary i rozumu na poziomie amerykańskiego doświadczenia. Jednak ruch na rzecz „edukacji progresywnej” (ang. *progressive education*) w połowie XIX w. zaczął osłabiać ten związek. Idea edukacji progresywnej była pochodną myśli Jana Jakuba Rousseau, według którego głównym celem edukacji jest uwolnienie młodzieży spod jarzma przeszłości – obyczajów, które uchodzą za cywilizowane, lecz takimi nie są. Rozpoczął się proces przewycięzania krępującej przeszłości, polegający na promocji wąsko pojętej nauki i zwalczaniu tradycyjnych religii: judaizmu i katolicyzmu. W XX w. John Dewey, najbardziej wpływowego amerykańskiego filozofa i teoretyka wychowania, stwierdził bez ogródek, że edukacja jest niczym innym, jak tylko świeckim projektem politycznym.

W swoich pracach (*Demokracja i wychowanie* oraz *Szkoła a społeczeństwo*) Dewey stara się dowieść, że o wiedzy stanowi nie tyle świat realnie istniejących rzeczy, co konsensus naukowców, którzy stale doskonalą swoje metody. Nauki humanistyczne, takie jak historia, filozofia, literatura czy sztuki piękne, mają wartość o tyle, o ile wychowują demokratyczną wrażliwość, dzięki której ludzie oświeceni są gotowi wspierać pracę naukowców. Innymi słowy, dyscypliny humanistyczne mają wartość jedynie jako narzędzia wychowawcze, formujące demokratyczny lud. Tam bowiem, gdzie istnieje właściwie ukształtowana demokratyczna wspólnota, tam może dobrze prospe-

rować biologia, chemia, fizyka itp. A ponieważ pojęcie demokracji Deweya ciąży w stronę socjalizmu (podobnie jak koncepcja Rousseau), stąd edukacja amerykańska – pozostająca pod wpływem jego myśli – stała się orężem „progresywnej” polityki.

Ani Rousseau, ani Dewey nie uważali edukacji za dziedzinę związaną z formowaniem intelektu. Była ona dla nich raczej sprawą dotyczącą kształtowania woli – woli naukowego porozumienia i pragnienia demokratycznego społeczeństwa. W kontekście takiej wizji wychowania nie było w ogóle miejsca dla klasycznie rozumianej cnoty ani religijnej moralności. Progresywna edukacja dała życie nowej Ameryce, w której drogi wiary i rozumu się rozeszły. Pozostały jedynie szczątki purytańskiego fideizmu na tle systematycznie zanikającej religii. Wraz z religią zanika klasycznie rozumiana roztropność i prawo naturalne, co każe przyjąć, że Ameryka pogrążyła się w odmętach zlaicyzowanego purytanizmu. W kulturze na nowo zapanowało stare przekonanie, że tajemnica ludzkiej moralności w całości ukryta jest w Biblii. Niestety, biorąc pod uwagę stopień zsekularyzowania społeczeństwa, jego możliwości oddziaływania są dziś naprawdę znikome. Kiedy ginie autorytet Pisma Świętego, wtedy takie społeczeństwo, jak to w Ameryce, traci jasną wizję moralności i staje się sługą relatywizmu. Purytańska koncepcja „powszechnego kapłaństwa wiernych” daje Amerykanom tytuł do radykalnego indywidualizmu, lecz z Biblią odłożoną na półkę każdy purytański kapłan staje się wyrocznią dla samego siebie. W jaki sposób ktoś może rządzić takim społeczeństwem?

Rolę zbawcy kultury przyjmuje na siebie system prawny. Jedną bowiem z widocznych gołym okiem konsekwencji wynikających z dominacji relatywizmu jest to, że Stany Zjednoczone stały się najbardziej skłóconym społeczeństwem na świecie. W Ameryce mieszka i pracuje ponad 70% wszystkich prawników tego świata. Czy stąd pochodzi ten stan rzeczy? Otóż, kiedy religia traci swój prymat w życiu publicznym, wówczas – aby utrzymać moralny konsensus w społeczeństwie – coś innego musi wypełnić powstałą po niej pustkę. A skoro klasyczny rozum, mądrość i roztropność nie stanowią już żadnej alternatywy, więc opuszczone przez religię miejsce zajmuje prawo stanowione. Na oplakane skutki takiej zamiany prawdopo-

dobnie nie trzeba będzie długo czekać. Jest takie stare powiedzenie, które mówi, że „studenci poszli do szkoły dla prawników z wiarą w dobro i zło, lecz wrócili z niej z wiarą w legalne i nielegalne”. Podobne przekonanie obejmuje całe społeczeństwo, kiedy prawo zastępuje obywatelom moralny kompas.

Powyższe tło ułatwia zrozumienie specyfiki prawa stanowionego, które jest praktykowane w Ameryce. (1) Prawo opiera się na kodeksach, ustawach i tekstach prawnych. Przez analogię księgi prawa zastępują księgę Biblii. (2) Prawo jest siłą napędową progresywnej polityki, utopijną wizją mającą transcendować zarówno poszczególne religie, jak i tradycyjne kryteria oceny moralnego postępowania człowieka. Ta siła napędowa ma za sobą władzę rządu, ponieważ klasa polityczna w państwie składa się niemal wyłącznie z prawników. (3) Prawo dąży do bycia czysto proceduralnym. Unika wyrokowania w sprawach natury moralnej, odnoszących się do indywidualnej lub prywatnej sfery ludzkiego życia. Jest to namacalny wyraz wpływu pracy Johna Stuarta Milla pt. *O wolności* na dzisiejszą Amerykę. Według Milla wszystko jest dozwolone, dopóki ktoś nie doznaje krzywdy. Jeżeli jednak ktoś doznałby krzywdy, to ma szansę dochodzenia sprawiedliwości przez kancelarię prawniczą, którą może sobie wybrać.

Wspólnota prawna nie ignoruje cnoty zupełnie. Jest ona obojętna jedynie wobec cnoty *prywatnej*. Rekompensuje tę obojętność, poświęcając się w całości cnotcie *publicznej*. Cnota prywatna jest starożytna i nieoświecona. Jej przeciwieństwem jest cnota publiczna, jako że odnosi się do politycznych aspiracji danej osoby. Oto w jaki sposób współczesna mentalność uwiarygodnia samą siebie: poprzez typy politycznych przyczyn. Przyczyny te umożliwiają społeczeństwu prowadzenie prac inżynierskich nad tworzeniem „autonomicznych jednostek” (ang. *autonomous individuals*), jak głosi slogan progresywnej polityki. Wielu członków wspólnoty prawnej wierzy, że to właśnie oni stanowią podmiot tej społecznej inżynierii. Realizacja tego projektu przebiega na dwóch frontach:

a) na froncie libertyńskim, dążącym do liberalizacji prawa tak, aby zapewnić jednostkom nietykalność ze strony tradycyjnych środków cenzury społecznej. Prywatna wolność jednostki powinna być

nieograniczona, z wyjątkiem momentów, kiedy ingeruje ona w sferę wolności innej osoby. Walka o autonomię jednostki ma usprawiedliwiać libertyńską metodę realizacji tego projektu. W konsekwencji prowadzi ona do akceptacji aborcji, eutanazji, legalizacji narkotyków, związków homoseksualnych itd.;

b) na froncie socjalistycznym, dążącym do stworzenia takiego prawa i takiej jego wykładni, aby równość jego zastosowania mogła podnieść standardy życia upośledzonych klas społecznych. Walka o autonomię jednostki jest parawanem również dla tej metody, która forsuje idee redystrybucji w ekonomii, opieki społecznej, rządowych funduszy na edukację, publicznych projektów mieszkaniowych, opieki lekarskiej itd. W konsekwencji wielu prawników w jednym czasie przybiera pozę libertyna, a w innym – socjalisty. W rzeczywistości jednak obie te pozy są jedynie dwoma aspektami tego samego światopoglądu progresywnego. Klasa prawników staje się nowym magisterium (tzn. urzędem nauczycielskim, P.T.), sprawującym kierowniczą rolę na drodze do utopii. A ponieważ utopia musi posiadać inspiracje etyczne, więc w strój etyki jako nauki przyodziewa się prawo.

Przeciętny Amerykanin, zdezorientowany nieco w całej tej sytuacji, zazwyczaj redukuje własne postawy etyczne do typowej dychotomii: prawo albo religia. Kiedyś, rozpoczynając zajęcia z etyki podczas seminarium dla urzędników państwowych, zostałem przedstawiony jako adwokat. Zaskoczony tym zupełnie niezasłużonym tytułem, zaprotestowałem, próbując wyjaśnić, że jestem filozofem, a nie prawnikiem. Osoba jednak, która mnie przedstawiła, usprawiedliwiała się, mówiąc, że termin, którego użyła, wydał się jej zupełnie logiczny. Czyż nie istnieją tylko dwa rozłączne sposoby rozumienia etyki? Czyż nie jest tak, że pochodzi ona albo z prawa, albo z religii? A ponieważ wiedziała, że nie jestem księdzem, więc pozostał jej wniosek, że jestem prawnikiem. Chciałbym wierzyć, że do czasu zakończenia rozpoczętych wówczas zajęć udało mi się wykazać jej, że istnieje jeszcze trzecia alternatywa.

Przemiana Ameryki w skłócone państwo przynosi niepokojące skutki. Kiedy przeciwstawne interesy w społeczeństwie pozbawionym moralnego konsensusu poza prawem walczą o prawne rozstrzygnięcie swoich sporów, wówczas w szalonym tempie rośnie licz-

ba procesów sądowych (w rzeczywistości liczy się je w milionach). Jednak liczba samych prawników w społeczeństwie każe przypuszczać, że to właśnie ich interesy dominują w kształtowaniu wartości społecznych. Ponad 90% ludzi stanowiących prawo z ramienia rządów stanowych i federalnego należy do grona prawników. Tak liczna armia Temidy musi decydować o tym, jakie prawo zostanie uchwalone. Nie dziwi więc fakt, że wiele ustaw służy interesom samych prawników. Na przykład, za czasów minionego pokolenia przyjęto prawo do „rozwodów bez orzekania o winie” (ang. *no fault divorce*). Pozwalało ono mężowi lub żonie wnieść pozew o rozwód bez konieczności jego uzasadnienia. Realizacja takiego „prawa” przyniosła oczywiście obfite dochody kancelariom prawniczym, lecz makabrycznie nadwerżyła kondycję rodzin.

Ogromna populacja zawodowych prawników może stać się czymś w rodzaju „klasy terrorystycznej” (ang. *terrorist class*). Jeden z moich znajomych, który – tak się składa – jest prawnikiem od spraw rozwodowych, powiedział mi, że regularną praktyką jego firmy prawniczej jest wszczynanie procesów zastraszających osoby pozwane, których sprawy wygrałyby w sądzie. Po zastraszeniu taki pozwany często kapituluje i załatwia sprawę – przez zapłacenie pokaźnej sumy – poza salą sądową.

Najbardziej szkodliwą konsekwencją legalistycznej idolatrii amerykańskiego społeczeństwa jest prawniczy aktywizm, czyli praktyka sędziowska polegająca na stanowieniu prawa na mocy własnego urzędu. Aktywizm prawniczy jest szkodliwy z kilku powodów. Po pierwsze, jest on sprzeczny z Konstytucją. Najdłuższy bowiem artykuł Konstytucji mówi o kompetencjach agendy ustawodawczej i stwierdza, że mandat do tworzenia prawa należy tylko do niej. Po drugie, aktywizm ten podważa wolę obywateli wyrażaną w powszechnym głosowaniu. Najczęściej w wyniku demokratycznego głosowania wyłania się jakaś mniejszość. W przypadku więc, gdy sędziowie i prawnicy procesowi preferują zdanie właśnie tej mniejszości, wówczas odwołują się do sądów, które uznają demokratycznie wyrażoną wolę obywateli jako „niezgodną z konstytucją” (ang. *unconstitutional*), twierdząc, że większość stała się „despotyczna” (ang. *tyrannical*).

W świetle aktywizmu prawniczego rządu w dzisiejszej Ameryce zasługują na miano krotkacji (gr. *krites* – sędzia). Sędziowie mogą bowiem dowolnie zmieniać etyczny, prawny i polityczny krajobraz Ameryki w celu realizacji swoich progresywnych dążeń politycznych. Cel uświęca środki. Dobrze znanym przypadkiem takiego aktywizmu jest odkrycie w Konstytucji „prawa do aborcji” (ang. *right to abortion*). Coraz częściej słyzy się orzeczenia nieważności referendum przeciwko „związkom tej samej płci” (ang. *same-sex marriage*). W każdym stanie, w którym kwestia ta została poddana pod głosowanie (nawet w stanie Massachusetts, który słynie ze swego liberalnego nastawienia), głosujący odrzucili projekty legalizacji związków tej samej płci. Jednak wyniki tych referendum okazały się niezgodne z ideologią prawników sądowych, stąd sądy w różnych stanach podejmują usilne starania o stwierdzenie, że wola głosujących jest sprzeczna z Konstytucją.

Bazując na własnych obserwacjach i doświadczeniu, mógłbym podać wiele podobnych przykładów, jednak nie poddam się tej pokusie. Chcę jedynie podkreślić to, iż nie można zrozumieć współczesnego społeczeństwa amerykańskiego bez zrozumienia jego kłótlivej natury. Wszystko wskazuje na to, że Konstytucja i rządy prawa są dziś na usługach nowej wiary. Stara purytańska wiara została zsekularyzowana i przekształcona w prawniczy aktywizm i progresywną politykę.

Ekonomia

W przeciwieństwie do rozważań nad kulturą, które koncentrowały się na jej wadach, moje uwagi na temat ekonomii dotyczyć będą bardziej pozytywnych cech amerykańskiego społeczeństwa. Amerykańska gospodarka jest jednym z cudów tego świata. Od początku Amerykanie wiedzieli o ekonomii coś, czego inne części świata musiały się dopiero nauczyć na drodze trudnych doświadczeń. Obdarowani bezkresną przestrzenią życiową, wychowani w protestanckiej etyce pracy, nieobciążeni feudalizmem Starego Świata, Amerykanie od razu zostali ogarnięci duchem wielkiej przedsiębiorczości. Ich

kulturowa podbudowa zawsze leżała (i nadal leży) u podstaw dobrze prosperującej gospodarki.

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że w Ameryce od zawsze istniała stabilna kultura moralna wypracowana na bazie nauczania biblijnego. Powszechność tego nauczania łączyła się z przekonaniem, że biblijne instrukcje moralne należy stosować również w dziedzinie wolnej wymiany gospodarczej, w przeciwnym razie ekonomii grozi korupcja. Wprawdzie wpływ Biblii na gospodarkę okazał się daleki od doskonałości (zresztą jest to jeszcze jedna nauka biblijna, mówiąca o tym, że niedoskonałości istnieją na świecie), jednak ludzie, chcąc ograniczyć egoistyczną pogoń za bogactwem, z zasady – jeśli nie zawsze w czynach, to przynajmniej w słowach – potępiali chciwość i wyrachowanie.

Druga ważna lekcja biblijna uczyła, że praca jest „sakramentalna” (ang. *sacramental*). De Tocqueville, który w swojej książce pt. *O demokracji w Ameryce* często głosił prorocze tezy, przepowiadał, że gospodarka w Ameryce Południowej zmarnieje w kolonialnym marazmie, natomiast w Ameryce Północnej – rozkwitnie. Uzasadnieniem jego tezy miał być fakt, że oficjalną religią Ameryki Łacińskiej był katolicyzm. I rzeczywiście, Kościół katolicki był ambiwalentny w sprawie pożytku i pracy, kiedy chodziło o zyski. Katolicka teologia moralna niepokoiła się tym, że wolny rynek, dążąc do zysku, stawał się grą sum zerowych, w której zysk jednej strony oznacza nieuchronnie stratę dla drugiej. Protestantyzm natomiast nie miał wątpliwości, że wymiana wolnorynkowa może w oczach Bożych zasługiwać na pochwałę. Nie formułował więc żadnych religijnych zakazów w sprawie rozwoju kapitalistycznych inicjatyw w Ameryce.

Pozostałości dawnych poglądów katolickich na temat użyteczności i pracy dają o sobie znać również dzisiaj. Wielu duchownych i świeckich ciągle przedstawia karykaturę wolnego rynku jako grę sum zerowych. Największe autorytety Kościoła zrozmiały jednak, że gospodarka wolnorynkowa może być dobra i może mieć właściwe sobie miejsce w całościowej wizji ludzkiego życia. Orędownikiem takiego poglądu był Jan Paweł II, autor takich encyklik, jak *Laborem Exercens* i *Centessimus Annus*. W dokumentach tych stwierdził on, że gospodarcza wolność nadaje pracy właściwy kierunek pod warun-

kiem, że jest ona zgodna z Ewangelią. Gospodarka dynamiczna stwarza dużo większe możliwości pomocy ludziom ubogim niż gospodarki statyczne, pozostające pod kontrolą państwa. Dynamizm gospodarczy daje również okazję do uwolnienia indywidualnej twórczości, umożliwiającej rozwój na poziomie ponadzwyczajnej egzystencji i współtworzenie lepszego świata, świata, w którym – jeżeli majątek jest gromadzony i mądrze używany – działalność gospodarcza może wpłynąć na podniesienie warunków życia ludzi niezamożnych. Wznosząca się bowiem fala podnosi wszystkie łodzie. Niewykluczne, że na temat gospodarki wolnorynkowej teologia katolicka mogłaby nauczyć się czegoś od protestantyzmu. W każdym razie, chociaż protestancka mentalność ograniczała Amerykę pod pewnymi względami, to z pewnością była ona inspiracją dla produkcji gospodarczej.

Po trzecie, produkcję gospodarczą w Ameryce stymulowało również prawo do własności prywatnej. Cechę tę dostrzegał już Jefferson, który fragment Deklaracji Niepodległości, mówiący, że istnieje niezwykłe prawo do „życia, wolności i dążenia do szczęścia”, sformułował pierwotnie w słowach mówiących o prawie do „życia, wolności i dążenia do własności”. Gwarancjom prawa do własności prywatnej jest poświęcona piąta poprawka do Konstytucji. Całe pokolenia Amerykanów, również tych, którzy nie zdawali sobie sprawy, że prawo do własności jest skodyfikowane w Konstytucji, uznawały je za aksjomat swojego życia. Pomysł, że rząd mógłby pobierać pieniądze od swoich obywateli na drodze podatkowej w celu poprawy życia społecznego, był nie do pomyslenia aż do wieku XX. Aż do 1913 r., kiedy to rząd federalny po raz pierwszy nałożył niewielki podatek od wynagrodzenia, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wiele razy orzekał, że jest on niezgodny z Konstytucją. Zrobił to nawet podczas wojny secesyjnej, gdy Abraham Lincoln usprawiedliwiał go jako akt wsparcia armii w walce o ocalenie Unii. Zatrącanie amerykańskiej świadomości historycznej łączyło się z nową tendencją do tworzenia systemu podatkowego coraz bardziej wrażliwego na potrzeby obywateli. W XXI w. system ten faktycznie reprezentuje już poziom wysokiego uwrażliwienia, co ośmiela niektórych krytyków gospodarczych do wyrażania opinii, że dzisiejsza Ameryka nie jest już tym samym krajem, co ta sprzed XX w. I znowu przewidywania De

Tocqueville'a okazały się trafne. Twierdził on bowiem, że Ameryka będzie prosperować do czasu, kiedy klasa polityczna odkryje, że obywatele dadzą się przekupić własnymi pieniędzmi.

Po czwarte, szczęściem Amerykanów jest ich otwartość. Ich zadowolenie z zasady pochodzi z tego, że każdy człowiek może dokonywać własnych wyborów i prowadzić własne interesy bez zewnętrznej cenzury. Niestety, jak pokazałem wcześniej, taka postawa może przerodzić się w relatywizm i rozpustę. Jeżeli jednak chodzi o gospodarkę, to jest ona (i była) źródłem rynkowej kreatywności. Amerykanie nigdy nie wykluczają możliwości, że nieszablonowy pomysł może stać się pomysłem najbardziej obiecującym. Stąd też zamiłowanie do nowości jest niewątpliwie częścią temperamentu amerykańskiego.

Po piąte wreszcie, Amerykanie są ludem pragmatycznym i utylnym. Jest czymś zupełnie zrozumiałym, że pionierzy, według których ich „jawnym przeznaczeniem” (ang. *manifest destiny*) jest zdobycie i zaludnienie całego kontynentu, nie mogą być zasadniczo teoretykami. Są to ludzie czynu, a nie kontemplacji. Nawet obserwatorzy Stanów Zjednoczonych z innych krajów postrzegają Amerykanów jako lud pragmatyczny, który wartości praktyczne ceni wyżej od spekulatywnych. Pogląd ten dodatkowo wzmacnia fakt, że najbardziej reprezentatywna szkoła myślenia w Ameryce jest związana z takimi nazwiskami, jak William James i John Dewey. W historii filozofii szkoła ta nosi nazwę „pragmatyzmu”, który nie tylko określa prawdę w kategoriach efektów praktycznych (wartości pieniężnej – jak wyraża się William James), lecz także oczekuje kolejnych efektów jej wydajności, które potwierdzają prawdę już osiągniętą i zapowiadają dalsze jej zdobywanie. Prawda jest urodzajna i była taka zawsze. Nie trzeba dodawać, że w takim społeczeństwie istnieje silny zapał do indywidualnej pracy. Amerykańska etyka pracy uczy, że wydajność świadczy o człowieku. To skłania Amerykanów do podejmowania aktywności zawodowej na wielką skalę. Liczne badania pokazują, że amerykańscy pracownicy rocznie poświęcają dużo więcej godzin na pracę niż pracownicy w większości innych krajów. Najbardziej przepracowani są prawnicy (być może jest w tym pewna sprawiedliwość). W każdym razie wzgląd na wydajność inspirowuje

Amerykanów do ciężkiej pracy do granic możliwości. Sądzą oni, że otwartość na różne okazje daje większe prawdopodobieństwo wytworzenia pożądaných rezultatów, nawet jeśli czasem te rezultaty są nieprzewidywalne. Nawiązuje do tego tzw. postawa „dasz radę” (ang. *can do attitude*), typowa dla amerykańskiej mentalności, chętnie przedstawiana w amerykańskiej literaturze i filmie. Klasycznym przykładem tej mentalności jest anegdota o dwóch sprzedawcach butów, których firma obuwnicza wysłała do innego kraju. Po przyjeździe okazało się, że wszyscy mieszkający tam ludzie chodzą boso. Pierwszy ze sprzedawców dzwoni zdenerwowany do firmy i mówi: „Zła wiadomość: nikt tutaj nie chodzi w butach”. Drugi z kolei dzwoni i z entuzjazmem donosi: „Dobra wiadomość! Nikt tu nie chodzi w butach”. Ten drugi sprzedawca był Amerykaninem.

Wniosek wynika z tego taki, że to, co nieprzewidywalne, może przypadkowo rozwinąć gospodarkę tak samo jak to, co przewidywalne. Jest to powód, dla którego Amerykanie w swoim indywidualnym i zbiorowym życiu chętnie podejmują ryzyko eksperymentu. Niechętnie uznają coś za niemożliwe, zanim tego nie spróbują. W takim kontekście granice gospodarczych inicjatyw i ich rezultatów są praktycznie nieskończone.

Rząd

Amerykańskie społeczeństwo ma wiele cech dodatnich. Większość Amerykanów znajduje w nim dobre warunki do życia, wielu szuka w nim korzyści. Jednak założyciele tego narodu nigdy nie zaakceptowałyby nadużycia władzy, którego dopuścili się współcześni politycy, aby nadać Ameryce kształt nie do przyjęcia u początków jej państwowości. Widok Ameryki rządzonej przez ludzi, którzy dowolnie interpretują Konstytucję, nie liczą się z wolą ludu i są podatni na korupcję, z pewnością zasmuciłyby Ojców Założycieli.

Transformacja Ameryki wynika głównie z tego, że rząd federalny – prezydent, kongres, sądy rezydujące w Waszyngtonie – stał się klasą zawodowych polityków. Niektórzy z nich nigdy nie pracowali poza sektorem rządowym. Założyciele Stanów Zjednoczonych mieli

wizję rządu federalnego, znajdującego się w rękach przedstawicieli narodu, którzy udają się do Waszyngtonu jedynie na krótki czas. Po zakończeniu urzędowania mieli oni wracać w swoje rodzinne strony, niekiedy nawet bardzo odległe. Na ówczesne czasy nie była to żadna romantyczna wizja. Rozległość kraju, ograniczenia komunikacyjne i przekonanie, że związki lokalne i stanowe są ważniejsze od waszyngtońskiej polityki, sprawiały, że stała klasa polityczna z siedzibą w stolicy po prostu nie mogła być czymś realnym.

Twórcy Konstytucji zaprojektowali ją tak, aby przez system kontroli, równowagi i podziału władzy wszelkie machinacje polityków były udaremniane. Powstanie wydzielonej klasy politycznej oznaczałoby dominację jednej frakcji politycznej nad drugą. Dominacja taka była jednak niemożliwa, ponieważ władza pozostawała pod kontrolą Konstytucji. Ograniczała ona poczynania rządu, zwłaszcza hamując wzrost liczby jego członków. Dzisiaj czasem po zwykłym posiedzeniu kongresu słyszy się narzekanie, że Waszyngton nie podpisał jakiejś ważnej ustawy. Dla Ojców Założycieli taka wiadomość byłaby bardzo dobrą nowiną. To oni bowiem stworzyli system, według którego „pat” (ang. *gridlock*) (polityczny impas) jest najpewniejszym wynikiem obrad kongresu.

Nawet dzisiaj trudno jest pokonać inercję politycznego pata. Kongres dysponuje jednak skutecznymi środkami przewycięzania uporu poszczególnych stronnictw. W amerykańskim żargonie środek taki nazywany jest „wieprzowiną” (ang. *pork*). Wieprzowina (mięso ze świni) jest polityczną metaforą oznaczającą legalną łapówkę, za pomocą której członkowie kongresu osładzają daną propozycję ustawy, aby przekonać innych kongresmanów (skądinąd nawet wrogów politycznych) do jej poparcia. A ponieważ członkowie kongresu lubią „gromadzić” (ang. *hog*) dla swoich stanów lub lokalnych obwodów tyle korzyści, ile się tylko da, stąd ich głos może zostać „kupiony” (ang. *bought*) przez tych kongresmanów, którym zależy na tym, aby ich własny interes stał się prawem.

Kongresmani (przedstawiciele Izby Reprezentantów i senatorowie) targują się więc między sobą w sprawie konkretnego głosowania co do warunków, na podstawie których korzyści ich konkretnego okręgu wyborczego staną się propozycją nowego prawa. Korzyści

te – atrakcyjne dla pewnej grupy członków Kongresu – są eufemistycznie nazywane „kolczykami” (ang. *earmarks*).

Niedawno (w październiku 2008) w odpowiedzi na krach gospodarczy w USA, spowodowany pożyczkami hipotecznymi i kredytami inwestycyjnymi, Kongres zaproponował sumę 700 miliardów dolarów na zabezpieczenie banków i przedsiębiorstw hipotecznych przed ich całkowitym upadkiem. Propozycja była krótka i na temat – po prostu trzystronicowy dokument. Większość obywateli sprzeciwiła się tej propozycji – tej wpłacie kaucji (ang. *bail out*), jak ją nazwano, uważając, że zwiększa ona ingerencję rządu w gospodarkę, ingerencję, która – zdaniem wielu – była główną przyczyną całego krachu. Kiedy propozycja ta została poddana pod głosowanie kongresu po raz pierwszy, członkowie Izby Reprezentantów, obawiając się oburzenia swoich wyborców, opowiedzieli się za jej odrzuceniem. Nie zniechęciło to jednak Kongresu, który zabrał się do rekonstrukcji projektu ustawy. Po upływie tygodnia kongresmani wystąpili ponownie z wnioskiem, ale tym razem był on już „zakolczykowany”, czyli uwzględniający interesy większości reprezentantów i senatorów. Zawarte w nim „kolczyki” sprawiły, że pierwotnie trzystronicowy dokument urósł do rozmiarów pięciusetstronicowej księgi. Poparcie tej „wieprzowej ustawy” (ang. *pork-legislation*) było jednym z powodów, dla których John McCain przegrał kampanię prezydencką. Popierając ją, zraził on do siebie wielu Amerykanów, którzy w innych okolicznościach oddaliby głos właśnie na niego.

Kongresmani rozgrywają polityczną grę tak, że zdobywają kontrolę nad pieniędzmi, które w większości pochodzą z kieszeni podatników. To pozwala im stać się czymś w rodzaju oligarchii. Jest to, niestety, amerykańska wersja tego, przed czym ostrzegał słynny Otto von Bismarck: „Dwóch rzeczy lepiej żebyś nigdy nie wiedział: jak robi się kiełbasę i w jaki sposób tworzy się prawo”.

Nie trzeba dodawać, że wśród poinformowanych Amerykanów te oligarchiczne tendencje wywołują cynizm. Podczas gdy George Bush miał jeden z najniższych wskaźników poparcia w historii Ameryki – 26%, to amerykański Kongres ma bezdyskusyjnie najniższy wskaźnik z kiedykolwiek odnotowanych – 9%. A propos, tylko Harry Truman pod koniec swego urzędowania w 1952 r. miał niższy

wskaźnik od Busha. Dzisiejsi historycy uznają go jednak za jednego z największych prezydentów Ameryki.

Obok polityków do oligarchii należą biurokraci. Jeżeli w danym społeczeństwie istnieje klasa zawodowych polityków, to z czasem musi w nim powstać także klasa profesjonalnych biurokratów, którzy są bezwzględnie potrzebni tym pierwszym do skutecznego załatwiania ich interesów. Biurokraci są praktycznie nietykalni. Jako że nie są oni wybierani, lecz nominowani, więc nie odpowiadają przed wyborcami. Wielu historyków potwierdza fakt, że stopień niedostępności i dokuczliwości biurokracji stanowi wyznacznik społecznego upadku. Istnieje wiele przykładów ilustrujących niepojętą rozrost federalnej biurokracji. Oto jeden z nich. W 1862 r. Abraham Lincoln poprosił o osobistego asystenta biurowego. Z czasem, na podstawie liczby podań kierowanych do jego biura, stwierdził, że potrzebuje drugiego osobistego sekretarza. Wielu członków kongresu zaprotestowało, twierdząc, że w ten sposób stworzy się precedens dla departamentu stanu (urzędu prezydenckiego) do pomnażania liczby biurokratów w postępie geometrycznym. Lincoln ostatecznie otrzymał kolejnego sekretarza, lecz obawa przed wzrostem liczby pracowników biurowych okazała się uzasadniona. O ile prawdą jest, że jeden urzędnik w sekretariacie Abrahama Lincolna to zbyt mało, o tyle niemal 700 w kancelarii Billa Clintona w latach 90. XX w. to liczba z pewnością grubo przesadzona.

Na zakończenie pozostaje wspomnieć o jeszcze jednym sprzymierzeńcu amerykańskiego rządu. Mam na myśli media. Są one środkiem pozostającym do dyspozycji nie wszystkich członków rządu, lecz jedynie jego progresywnej części. W Ameryce media stały się praktycznie orężem partii demokratycznej (liberalnej). Rzeczywisty wpływ mediów na efekt rządzenia jest tak ogromny, że nierzadko przypina się Ameryce etykietę z napisem „mediokracja”. Ludzie mediów podzielają te same progresywne wartości polityczne, co liberalni członkowie amerykańskiego rządu. Kolejne badania pokazują, że 90% pracowników przemysłu medialnego podczas wyborów oddaje głos na partię demokratów (podobne statystyki dotyczą pracowników sądów, nauczycieli, wykładowców szkół wyższych oraz duchowieństwa). Władza mediów w Ameryce jest potężna, tym bar-

dziej, że sprawują ją one, korzystając z usług wykreowanych gwiazd. Nagłaśniając daną sprawę lub osobę bądź też wyciszając je, media decydują o tym, co liczy się w narodowej polityce i debacie społecznej, a co nie. Media są niczym wyrocznia, która rozstrzyga o tym, co zasługuje na uwagę. Nie dziwi więc fakt, że z uwagi na swą liberalną stronniczość polityczną media działają w oparciu o podwójną etykę. Dlatego też amerykańscy konserwatyści są w nich poddawani niezwykle szczegółowym badaniom, podczas gdy liberałowie są usprawiedliwiani i hołubieni. Jaskrawym przykładem takiej logiki działania była ostatnia kampania prezydencka, w której trudne pytania pod adresem Baracka Obamy, dotyczące jego podejrzanych relacji osobistych, politycznego doświadczenia (czy też jego braku) oraz zapisu głosowań, były przez główne media praktycznie niepodejmowane, podczas gdy zyciorys Johna McCaina został przebadany wnikliwie i bez pardonu. Ponieważ Obama podzielał wartości lansowane przez media, więc media ignorowały pewne zagadnienia, które z racji historycznych domagałyby się dziennikarskiego omówienia. Ponieważ McCain nie podzielał tych samych wartości, więc był traktowany z zachowaniem zupełnie innych standardów.

Zakończenie

Być może przedstawiłem więcej wad demokracji amerykańskiej, niż powinienem, ale chcę zakończyć pozytywną uwagą. Mogę ją uczynić, ponieważ mam coś z augustyńskiego poglądu na życie społeczne. Otóż, utopia nie jest możliwa. Augustyn uczył, że na tym świecie sprawiedliwość jest czymś epizodycznym. Może, owszem, pojawić się na jakiś czas, lecz nigdy nie pozostanie na zawsze. Założyciele narodu amerykańskiego rozumieli, że każde społeczeństwo, również ich własne, jest takim projektem w sensie augustyńskim. Skoro ludzie nie są aniołami, więc potrzebują rządu, który swoje władze będzie oddzielał, kontrolował i równoważył. Co więcej, ludzie potrzebują społeczeństwa, które zwróci uwagę nie tylko na cnotę publiczną, lecz także na prywatną. Ta ostatnia potrzebuje moralnej i religijnej kultury, w której dane pokolenie zrealizuje swoje, odziedziczone po

przodkach, zobowiązanie do przekazania zasad moralnych następnym pokoleniom. Ojcowie Założyciele wiedzieli, że Ameryka nie będzie doskonała. Jednak zdawali sobie sprawę, że nic nie przedstawia sobą takich konstruktywnych mocy, jak świadomie i inteligentnie prowadzone społeczeństwo demokratyczne. Mam nadzieję, że Ameryka odzyska swoje poczucie celu i przodownictwa. Będzie to błogosławieństwem zarówno dla niej, jak i dla świata.

Thum. ks. Paweł Tarasiewicz

“Warts and All”: An Insider’s Appraisal of American Democratic Society

Summary

In American English there is an expression to convey that someone may love another in spite of his or her defects. We say, “I love so-and-so, warts and all,” a wart being a distracting blemish on someone’s appearance. An honest appraisal of American democracy must take into account its blemishes as well as its pleasant features. The author attempts that appraisal as an American who also happens to love his country. Any effort to explain a society requires an examination of its three dimensions: culture, economics, and politics. He respects this triad as he discusses central features of American democratic society, focusing on its strengths and weaknesses.

In conclusion, the author says that the founders of the American nation understood that every society, including their own, is an Augustinian project. Since human beings are not angels, they require a government that separates its powers and provides checks and balances. Moreover, human beings require a society that pays attention not only to public virtue but to private virtue as well. This latter requires a moral and religious culture where one generation embraces its ancestral obligation to transmit moral standards to the next generation. The founders knew that America would not be perfect. But they appreciated that nothing has constructive energies like a purposeful, intelligently led democratic society.